

The background of the cover is a photograph of a vast cotton field. The rows of cotton plants stretch towards the horizon. The sky is filled with dramatic, dark clouds, with a bright light source (the sun) breaking through near the horizon, creating a golden glow. The overall mood is somber and atmospheric.

JOHN  
GRISHAM

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

DZIEŃ  
ROZRACHUNKU

CO ZMIENIA DOBREGO CZŁOWIEKA W ZABÓJCĘ?

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE RECKONING

Copyright © Belfry Holdings, Inc. 2018  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020

Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2020

Redakcja: Anna Walenko

Zdjęcie na okładce: Mailson Pignata/Getty Images

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



# Rozdział 1

---

**W** chłodny ranek na początku października 1946 roku Pete Banning zbudził się jeszcze przed wschodem słońca i wiedział, że już nie zaśnie. Leżąc w łóżku, długo wbijał wzrok w ciemny sufit i po raz tysięczny zadawał sobie pytanie, czy starczy mu odwagi. W końcu, gdy za oknem zrobiło się szaro, pogodził się z twardą rzeczywistością: z tym, że musi zabić. Przymus, który mu to nakazywał, był tak silny, że Pete nie mógł dalej normalnie funkcjonować. Nie mógł być tym, kim był, dopóki tego nie zrobi. Zaplanowanie zabójstwa było łatwe, choć trudne do wyobrażenia. Jego reperkusje miały się ciągnąć przez dzżycie tych, których kochał, i tych, których nie kochał. Bezwzględność, z jaką dokona tego czynu, miała przejść do legendy, choć z pewnością nie zależało mu na sławie. Zgodnie ze swoją naturą, wolałby uniknąć rozgłosu, lecz było to niemożliwe. Nie miał wyboru. Prawda wyszła powoli na jaw i kiedy zdał sobie z niej w pełni sprawę, zabójstwo stało się tak samo nieuniknione jak wschód słońca, na który patrzył.

Powoli się ubrał – po nocy jego pokiereszowane na wojnie nogi były jak zawsze sztywne i obolałe – a potem przeszedł przez pogrążony w ciemności dom do kuchni, zapalił przyćmione światło i nastawił kawę. Kiedy się parzyła, stanął sztywno wyprostowany przy kuchennym stole, splótł ręce na karku i ostrożnie ugiął oba kolana. Skrzywił się, gdy nagły ból

przeszył go od bioder aż do kostek, ale wytrzymał w tej pozycji całe dziesięć sekund. Następnie wyprostował się i kilkakrotnie powtórzył ćwiczenie, za każdym razem kucając niżej. W lewej nodze miał metalowe druty, w prawej odłamki szrapnela.

Nalał sobie kawy, posłodził ją i dodał mleka, po czym wyszedł na tylną werandę i omiół wzrokiem swoją ziemię. Słońce wyłoniło się już zza horyzontu i żółtawe światło kładło się na morzu bieli. Pola były gęste i ciężkie od przypominającej dziewiczy śnieg bawełny i każdego innego dnia Pete uśmiechnąłby się na myśl o obfitych zbiorach. Ten dzień nie skłaniał jednak do uśmiechu; tego dnia miały się polać łzy, wiele łez. Ale nie zabijając, okazałyby się tchórzem, a to było do niego niepodobne. Popijając kawę, delektował się pięknem swojej ziemi i czerpał z niej otuchę. Pod białą pierzyną bawełny leżała warstwa żyznego czarnoziemiu, który należał do Banningów od ponad stu lat. Ci, którzy dzierżyli władzę, dopadną go i zapewne skażą na śmierć, ale ziemi nikt nie ruszy i dalej będzie żywiła jego rodzinę.

Posokowiec Mack obudził się z drzemki i dołączył do niego na werandzie. Pete zagadał do psa i pogładził go po łbie.

Bawełna sypała się z torebek nasiennych i zbieracze już wkrótce mieli wsiąść na wozy i wyruszyć w odległe krańce plantacji. Jako chłopak Pete towarzyszył podczas zbiorów czarnym robotnikom i przez dwanaście godzin dziennie ładował z nimi do worków bawełnę. Banningowie byli właścicielami ziemskimi, ale w przeciwieństwie do żyjących z cudzego znoju dekadentkich plantatorów nigdy nie uchylali się od pracy fizycznej.

Sącząc kawę, patrzył, jak robi się coraz jaśniej i coraz bielszy jest bawełniany śnieg. Z oddali, zza obory i kurnika, dobiegały głosy czarnych, którzy zbierali się przy szopie z ciągnikami przed kolejnym długim dniem pracy. Znał tych ubogich mężczyzn i kobiety od najmłodszych lat, ich przodkowie obrabiali tę ziemię od stulecia. Co się z nimi stanie po tym, jak dokona zabójstwa? Tak naprawdę nic strasznego. Niewiele

potrzebowali, by przeżyć, i niewiele wiedzieli. Jutro staną w milczeniu w tym samym miejscu, poszepeczą przy ognisku i wyruszą na pole, bez wątpienia z ciężkim sercem, ale pragnąc jak zwykle wykonać to, co do nich należy, i odebrać zapłatę. Zbiory będą trwały nadal, niezakłócone i obfite.

Dopił kawę, postawił filiżankę na balustradzie i zapalił papierosa. Pomyślał o swoich dzieciach. Joel studiował na ostatnim roku na Uniwersytecie Vanderbilta, Stella na drugim roku w Hollins; cieszył się, że nie ma ich w domu. Wyobrażał sobie, jak bardzo będą cierpieć i wstydzić się tego, że ich ojciec siedzi za kratkami, ale wiedział, że jakoś to przeżyją, podobnie jak robotnicy rolni. Oboje byli inteligentni, zrównoważeni, no i zawsze będą mieli ziemię. Ukończą studia, ona wyjdzie dobrze za mąż, on się dobrze ożeni i będzie im się wiodło.

Pałac papierosa, wziął filiżankę, wrócił do kuchni i podszedł do telefonu, by zadzwonić do swojej siostry, Florry. Była środa, dzień, kiedy spotykali się na śniadaniu, więc Pete potwierdził, że wkrótce u niej będzie. Wylał fusy, zapalił kolejnego papierosa, zdjął z kołka na drzwiach kurtkę, po czym przeciął razem z Mackiem podwórko i ruszyli ścieżką biegnącą wzdłuż ogrodu, w którym Nineva i Amos uprawiali warzywa dla Banningów i ich domowników. Kiedy mijał oborę, usłyszał, jak Amos przemawia do krów, szykując się do dojenia. Przywitał się z nim i rozmawiali przez chwilę o pewnym tłustym wieprzu, którego mieli zarznąć w sobotę.

Ruszył dalej, nie utykając, mimo że bolały go nogi. Obok szopy z maszynami rolniczymi zebrani przy ognisku czarni rozmawiali i pili kawę z cynowych kubków. Na jego widok umilkli.

– Dzień dobry, Mista Banning – pozdrowiło go kilku i grzecznie im odpowiedział.

Mężczyźni mieli na sobie stare brudne kombinezony, kobiety – długie sukienki i słomiane kapelusze. Nikt nie nosił butów. Dzieci i podrostki siedziały obok wozu, okryte kocem, zaspane i z poważnymi minami, drząc na myśl o kolejnym

długim dniu zbiorów.

Dzięki dotacjom pewnego bogatego Żyda z Chicago na terenie posiadłości Banningów działała szkoła dla czarnych dzieci – ojciec Pete’a wznosił jej budynek za własne pieniądze. Banningom zależało, by czarne dzieci skończyły przynajmniej osiem klas. Jednak w październiku, kiedy priorytet miały zbiory, szkołę zamykano i uczniowie pracowali w polu.

Pete zamienił kilka słów z Bufordem Province’em, białym nadzorcą. Mówili o pogodzie, o tym, ile zebrano poprzedniego dnia, i o cenie bawełny na giełdzie w Memphis. W szczycie sezonu zawsze brakowało zbieraczy i Buford liczył na brygadę białych robotników z Tupelo. Poprzedniego dnia mieli przyjechać ciężarówką, ale się nie pokazali. Właściciel plantacji położonej trzy kilometry dalej zaproponował im podobno pięć centów więcej za funt bawełny, lecz takie pogłoski krążyły zawsze w czasie zbiorów. Drużyny zbieraczy jednego dnia tyrały od rana do wieczora, drugiego dnia znikwały, a potem zjawiały się ponownie, kiedy zmieniały się płace. Tylko czarni nie mogli się rozglądać za lepszą robotą, ale wiadomo było, że Banningowie wszystkim płacą tyle samo.

Zagrały silniki dwóch ciągników marki John Deere i robotnicy weszli na przyczepy. Pete patrzył, jak kołysząc się i kiwając, znikają między zaspami bawełnianego śniegu.

Zapalił kolejnego papierosa i minąwszy szopę, ruszył z psem polną drogą. Florry mieszkała półtora kilometra dalej, na własnym kawałku ziemi, i ostatnio Pete zawsze chodził tam piechotą. Było to bolesne, ale lekarze powiedzieli, że długie spacery wzmocnią po jakimś czasie jego nogi i ból może ustąpić. Raczej w to wątpił i pogodził się z faktem, że nogi będą go rwać i boleć do końca życia, które na szczęście ocalił. Kiedyś już uznano go za zmarłego i rzeczywiście był bardzo bliski śmierci, dlatego każdy dzień traktował jak dar od losu.

Aż do teraz. Ten dzień będzie dla niego ostatnim dniem życia, jakie znał, i przyjął to do wiadomości. Nie miał wyboru.

Florry mieszkała w różowym domku, który zbudowała po tym, jak ich matka zmarła i zostawiła im ziemię. Była poetką i choć zupełnie nie znała się na uprawie roli, przywiązywała dużą wagę do dochodów, jakie stąd płynęły. Jej część, o powierzchni dwustu sześćdziesięciu hektarów, była tak samo żyzna jak część Pete'a, dlatego Florry oddała mu ją w dzierżawę za połowę zysków. Była to umowa przypieczętowana uściskiem dłoni, oparta na wzajemnym zaufaniu i równie zobowiązująca jak podpisany notarialnie kontrakt.

Kiedy przyszedł, Florry była na tyłach domu i przechadzała się po swojej ptaszarni z drucianej i sznurowej siatki, sypiąc karmę i gawędząc z najróżniejszymi papugami, papużkami i tukanami. W stojącej obok ptaszarni klatce trzymała tuzin kurczaków. Jej dwa goldeny siedziały na trawie, bez większego zainteresowania obserwując karmienie egzotycznego ptactwa. W domu miała pełno kotów, stworzeń, których ani Pete, ani psy nie darzyły zbyt dużą sympatią.

Pete wskazał Mackowi miejsce na werandzie, a sam wszedł do środka. Marietta krzątała się po kuchni, w której unosił się zapach smażonego bekonu i placków kukurydzianych. Przywitał się i usiadł przy stole. Marietta naląła mu kawy, a on zaczął czytać poranną gazetę z Tupelo. Ze starego patefonu w salonie płynęła śpiewana sopranem smutna aria. Pete zadawał sobie często pytanie, ile osób w hrabstwie Ford, poza jego siostrą, słucha opery.

Skończywszy zajmować się ptakami, Florry weszła przez tylne drzwi, powiedziała bratu „Dzień dobry” i usiadła naprzeciwko niego. Nie było żadnych uścisków ani całusów. Ci, którzy znali Banningów, uważali ich za ludzi chłodnych i zdystansowanych, unikających okazywania emocji i mało serdecznych. Było to prawdą, ale nie wynikało ze świadomego wyboru; tak po prostu zostali wychowani.

Czterdziestoosmioletnia Florry miała za sobą krótkie nieudane małżeństwo w młodości. Była jedną z nielicznych

rozwódek w hrabstwie i dlatego patrzono na nią trochę z góry, jakby naruszało to w jakiś sposób jej cześć i świadczyło o niemoralnym prowadzeniu się. Specjalnie się tym nie przejmowała. Miała kilka przyjaciółek i rzadko opuszczała swoją posiadłość. Za jej plecami często określano ją mianem Ptasiej Damy i nie mówiono tego z życzliwością.

Marietta podała im grube omlety z pomidorami i szpinakiem, placki kukurydziane polane masłem, bekon i dżem truskawkowy. Oprócz kawy, cukru i soli wszystko, co było na stole, pochodziło z ich własnej ziemi.

– Dostałam wczoraj list od Stelli – powiedziała Florry. – Idzie jej dość dobrze, choć ma pewne trudności z rachunkami. Woli literaturę i historię. Zupełnie jak ja.

Dzieci Pete'a miały wysyłać przynajmniej jeden list w tygodniu do ciotki, która pisała do nich co najmniej dwa razy w tygodniu. Pete'owi nie zależało, by do niego pisali, i powiedział im, że mogą sobie to darować. Ale jeśli chodziło o listy do ciotki, nie wolno było im się migać.

– Nie miałam żadnych wiadomości od Joela – dodała.

– Na pewno jest bardzo zajęty – odparł Pete, przewracając stronę gazety. – Nadal spotyka się z tą dziewczyną?

– Chyba tak. Jest o wiele za młody na miłość, Pete. Powinieneś z nim porozmawiać.

– I tak mnie nie posłucha. – Pete zjadł kawałek omletu. – Chcę tylko, żeby szybko skończył studia. Mam już dość płacenia czesnego.

– Zbiory są chyba dobre. – Florry prawie nie tknęła jedzenia.

– Mogłyby być lepsze, a wczoraj znów spadła cena. Mamy w tym roku za dużo bawełny.

– Cena ciągle rośnie i spada, prawda? Kiedy jest wysoka, bawełny brakuje, a kiedy spada, jest jej za dużo. I tak źle, i tak niedobrze.

– No właśnie.

Zastanawiał się, czy nie zdradzić siostrze, co się wkrótce wydarzy, ale na pewno źle by na to zareagowała, błagałaby,



żeby tego nie robił, wpadłaby w histerię i w końcu by się pokłócili, co nie zdarzyło im się od wielu lat. Wiedział, że zabójstwo dramatycznie odmieni jej życie. Z jednej strony było mu jej żal i czuł się w obowiązku jakoś to wytłumaczyć, ale z drugiej – zdawał sobie sprawę, że wytłumaczyć tego nie można i nawet gdyby spróbował, nie dałoby to pożądanego rezultatu.

Trudno było sobie wyobrazić, że to śniadanie może być ich ostatnim wspólnym posiłkiem, ale właściwie wiele rzeczy tego ranka działo się po raz ostatni.

Musieli teraz porozmawiać o pogodzie i zajęło im to kilka minut. Według almanachu następne dwa tygodnie miały być chłodne i suche, idealne na zbiory. Pete ponownie podzielił się z siostrą swoimi obawami z powodu niedostatecznej liczby zbieraczy, a ona przypomniała mu, że wiecznie się na to skarży. I rzeczywiście, tydzień temu również ubolewał nad brakiem pracowników sezonowych.

Pete nie zamierzał się objadać, zwłaszcza w taki straszny dzień. Głodował podczas wojny i wiedział, jak niewiele potrzebuje ciało, by przetrwać. Kiedy ktoś mniej waży, nie obciąża tak bardzo nóg. Zjadł kawałek bekonu, wypił parę łyków kawy i przewrócił kolejną stronę gazety, słuchając, jak Florry opowiada o krewnej, która właśnie zmarła w wieku dziewięćdziesięciu lat, według niej zdecydowanie zbyt wcześnie. Ostatnio dużo myślał o śmierci i zastanawiał się, co napisze o nim w nadchodzących dniach miejscowa gazeta. Na pewno zamieszczą jakiś artykuł, może nawet kilka, choć nie cierpiał zwracać na siebie uwagi. Było to nieuniknione, ale bał się, że zrobią z tego wielką sensację.

- Niewiele jesz – zauważyła. – I chyba trochę schudłeś.
- Ostatnio nie mam apetytu – przyznał.
- Jak dużo palisz?
- Tyle, ile chcę.

Miał czterdzieści trzy lata, ale wyglądał, przynajmniej jej zdaniem, na starszego. Gęste ciemne włosy posiwiały mu nad uszami, a czoło przecinały długie zmarszczki. Przystojny

młody żołnierz, który poszedł na wojnę, starzał się zbyt szybko. Na pewno ciążyły mu przykre wspomnienia, ale zachowywał je dla siebie. Okropności, które przeżył, nie miały nigdy zostać ujawnione, w każdym razie nie przez niego.

Raz w miesiącu zmuszał się, by zapytać siostrę o jej pisaninę, jej poezję. W ostatnich dziesięciu latach kilka jej utworów zostało opublikowanych w mało znanym magazynie literackim, ale było tego niewiele. Mimo braku sukcesów uwielbiała zanudzać brata, jego dzieci oraz mały krąg przyjaciół opowieściami o swych najnowszych dokonaniach na literackiej niwie. Mogła bez końca rozprawiać o swoich „projektach”, o wydawcach, którzy uwielbiali jej poezję, ale po prostu nie potrafili znaleźć dla niej miejsca, albo o rozsianych na całym świecie wielbicielach, przysyłających jej listy. Nie była znana aż tak szeroko i Pete podejrzewał, że list, który otrzymała przed trzema laty od jakiejś zagubionej duszy z Nowej Zelandii, był jedynym, jaki przyszedł z zagranicy.

Nie czytał poezji i po tym, jak został zmuszony przeczytać wiersze siostry, ostatecznie się zniechęcił. Wolał prozę, zwłaszcza pisarzy opiewających Południe, a najbardziej Williama Faulknera, człowieka, którego spotkał raz przed wojną na przyjęciu koktajlowym w Oxfordzie.

Tego ranka wolał nie rozmawiać o wierszach siostry. Musiał wypełnić paskudny obowiązek, dokonać czegoś strasznego, czego nie mógł zaniechać ani odłożyć na później.

Odsunął od siebie talerz z niedojedzonym omletem i dopił kawę.

– Jak zawsze było mi bardzo miło – powiedział z uśmiechem i wstał.

Podziękował Marietcie, włożył kurtkę i wyszedł z różowego domku.

Mack czekał na stopniach werandy. Florry pożegnała brata z ganku, a on, nie odwracając się, pomachał do niej.

Maszerując z powrotem zakurzoną drogą, wydłużył krok, żeby pozbyć się sztywności po półgodzinie siedzenia. Słońce

było coraz wyżej i wypalało rosę, a wszędzie dokoła torebki nasienne kołysały się na łądogach, nie mogąc się doczekać zbiorów. Szedł różnym krokiem przed siebie, samotny mężczyzna, którego dni były policzone.



Nineva, stojąc przy kuchence gazowej, robiła przetwory z pomidorów. Pete przywitał się z nią, nalał sobie świeżej kawy i przeszedł z kubkiem do gabinetu, gdzie usiadł przy biurku i zaczął porządkować papiery. Wszystkie rachunki były opłacone, wszystkie konta na plusie. Z wyciągów bankowych wynikało, że ma dostateczną ilość gotówki. Napisał jednostronicowy list do żony, zaadresował kopertę i przylepił znaczek. Włożył książeczkę czekową i kilka dokumentów do teczki i postawił ją przy biurku. Z dolnej szuflady wyjął swojego colta kalibru .45, sprawdził, czy w magazynku jest sześć naboń, i schował broń do kieszeni kurtki.

O ósmej powiedział Ninevie, że jedzie do miasta, i zapytał, czy czegoś nie potrzebuje. Nie potrzebowała, więc zszedł po stopniach werandy, razem z podążającym za nim krok w krok Mackiem. Otworzył drzwi swojego nowego forda pick-upa z 1946 roku i pies od razu wskoczył na miejsce pasażera. Mack prawie zawsze towarzyszył mu podczas jego wypadów do miasta i tym razem nie miało być inaczej, przynajmniej dla psa.

Dom Banningów – wspaniała rezydencja w stylu Colonial Revival – zbudowany przez rodziców Pete’a jeszcze przed wielkim kryzysem z 1929 roku, stał przy drodze numer 18, na południe od Clanton. Drogę wyasfaltowano rok wcześniej za pieniądze z powojennego funduszu federalnego. Miejscowi sądzili, że Pete użył swoich wpływów, by fundusze wykorzystano w ten sposób, ale się mylili.

Do Clanton było siedem kilometrów i Pete jechał powoli, jak zawsze. Droga była pusta, jeśli nie liczyć obładowanych bawełną i zaprzężonych w muły wozów, które zmierzały do odziarniarki. Kilku największych plantatorów w hrabstwie,

takich jak Pete, miało już ciągniki, ale transport w większości odbywał się za pomocą mułów, podobnie jak orka i sadzenie. Korporacje John Deere i International Harvester starały się udoskonalić proces mechanicznego zbioru bawełny, który pewnego dnia miał wyeliminować potrzebę zatrudniania tylu robotników, ale Pete nie bardzo w to wierzył. W gruncie rzeczy nie było to teraz ważne. Liczyło się tylko czekające go zadanie.

Bawełna, którą wiatr zwał z wozów, osiadała na poboczach szosy. Dwóch zaspanych kolorowych chłopaków, stojących przy wylocie polnej drogi, pomachało mu, podziwiając jego pick-upa, jednego z dwóch nowych fordów w hrabstwie. Pete nie odwzajemnił gestu. Zapalił papierosa i kiedy wjeżdżali do miasta, powiedział coś do Macka.

Zaparkował przed pocztą nieopodal głównego placu i patrzył, jak ludzie wchodzą tam i wychodzą. Nie chciał natknąć się na kogoś, kogo znał albo kto być może znał jego, bo po zabójstwie każdy przypadkowy świadek skłonny jest do wygłaszania banalnych spostrzeżeń w rodzaju: „Widziałem go i zachowywał się całkiem normalnie”, podczas gdy ktoś inny mógł oznajmić: „Wpadłem na niego przy poczcie i miał obłąkane spojrzenie”. Po tragedii nawet ci, którzy nie mieli z nią nic wspólnego, lubią podkreślać swoje znaczenie i udział.

W końcu wysiadł z pick-upa, podszedł do skrzynki na listy i wrzucił list do żony. Odjeżdżając stamtąd, okrążył budynek sądu, z jego szerokimi ocienionymi trawnikami i gazonami, i wyobraził sobie nagle, jakim spektaklem może stać się proces. Czy wprowadzą go tam w kajdankach? Czy ława przysięgłych okaże mu współczucie? Czy jego adwokaci użyją jakiejś sztuczki i go uratują? Wiele było pytań, na które nie znał odpowiedzi. Przejeżdżając obok Tea Shoppe, gdzie co dzień rano przesiadywali nad gorącą kawą i bułeczkami na maślance bankierzy i adwokaci, zastanawiał się, co będą mówić o zabójstwie. Sam rzadko zaglądał do tej kawiarni, bo był farmerem i nie miał czasu strzepić języka po próżnicy.

Niech gadają. Nie oczekiwał współczucia ani od nich, ani

tak naprawdę od żadnego mieszkańca hrabstwa. Gwizdał na ich współczucie, nie zależało mu, by go zrozumieli, i nie zamierzał tłumaczyć się ze swoich czynów. W tym momencie był żołnierzem, który miał misję i rozkaz do wykonania.

Zaparkował w cichej uliczce, przecznice za kościołem metodystów. Wysiadł, rozprostował nogi, zapiął kurtkę pod samą szyję, powiedział Mackowi, że niedługo wróci, i ruszył w stronę kościoła, który siedemdziesiąt lat wcześniej pomagał budować jego dziadek. Odległość była niewielka i po drodze Pete nie spotkał nikogo. Później nie znaleziono nikogo, kto by go wtedy widział.



Wielebny Dexter Bell objął obowiązki duszpasterskie w kościele metodystów w Clanton trzy miesiące przed Pearl Harbor. Był to jego trzeci z kolei kościół i gdyby nie wojna, zostałby już z pewnością, jak wszyscy inni duchowni metodystów, przeniesiony gdzie indziej. Braki kadrowe spowodowały jednak wydłużenie posługi i zakłóciły proces wymiany. Normalnie w kościele metodystów pastor zmieniał się najpóźniej po dwóch, trzech latach. Wielebny Bell przebywał już w Clanton pięć lat i wiedział, że wkrótce go odwołają i wyślą w inne miejsce. Niestety, odwołanie nie przyszło na czas.

Siedział przy biurku w swoim gabinecie, w przylegającym do kościoła budynku parafii, sam jeden, jak zwykle w środowy poranek. Sekretarz parafii pracował tylko trzy popołudnia w tygodniu. Wielebny odmówił poranne modlitwy i teraz miał przed sobą otwartą Biblię oraz dwa kompendia. Obmyślał właśnie następne kazanie, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zanim zdążył coś powiedzieć, drzwi się uchyliły i do środka wszedł Pete Banning z chmurną, zdeterminowaną miną.

– Dzień dobry, Pete – odezwał się Bell, zaskoczony tą nagłą wizytą.

Miał zamiar wstać, ale Pete wyciągnął nagle rewolwer z długą łufą.

– Wiesz, po co tu przyszedłem – oświadczył.

Bell zastygł w bezruchu i wbił przerażony wzrok w rewolwer.

– Co ty robisz, Pete? – zdołał wyjąkać.

– Zabiłem wielu ludzi, pastorze. Wszyscy byli dzielnymi żołnierzami i zginęli na polu bitwy. Ty jesteś pierwszym tchórzem.

– Pete, nie, nie! – Bell podniósł ręce i odchylił się na krześle, wytrzeszczając oczy i otwierając szeroko usta. – Jeśli chodzi ci o Lizę, wszystko wyjaśnię! Nie, Pete!

Pete zbliżył się o krok, wycelował w Dextera i pociągnął za spust. Jako snajper umiał posługiwać się wszelką bronią i używając jej na polu walki, zabił więcej ludzi, niż chciałby pamiętać. Poza tym przez całe życie polował w lasach na dużą i małą zwierzynę. Pierwsza kula trafiła Dextera prosto w serce, podobnie jak druga. Trzecia przebiła jego czaszkę, tuż nad nosem.

W małym pomieszczeniu strzały zabrzmiały głośno jak z armaty, ale usłyszały je tylko dwie osoby. Żona Dextera, Jackie, była sama na plebanii po drugiej stronie kościoła i kiedy dobiegł ją hałas, sprzątała akurat kuchnię. Opisała go później jako stłumiony odgłos kilku kłaśnień w dłonie i w tamtej chwili nie miała pojęcia, że to strzały z broni palnej. Nie przyszło jej do głowy, że właśnie zginął jej mąż.

Hop Purdue sprzątał kościół od dwudziestu lat. Kiedy rozległy się strzały, od których niemal, jak mu się zdawało, zatrzęsły się mury parafii, był akurat na korytarzu. Drzwi gabinetu się otworzyły i zobaczył, że wychodzi przez nie Pete Banning, nadal trzymając w ręce rewolwer. Ujrzawszy Hopa, wycelował w jego twarz i wydawał się gotowy wystrzelić. Hop padł na kolana.

– Proszę, Mista Banning, nie zrobiłem nic złego! – zawołał.

– Mam dzieci, Mista Banning.

Pete opuścił broń.

– Dobry z ciebie człowiek, Hop – powiedział. – Idź i zawiadom szeryfa.

## Rozdział 2

---

**S**tojąc w bocznych drzwiach, Hop patrzył, jak Pete wychodzi z budynku parafii i spokojnie chowa rewolwer do kieszeni kurtki. Kiedy farmer zniknął mu z oczu, Hop pokuśtykał – jedną nogę miał o pięć centymetrów krótszą – z powrotem do gabinetu, wślizgnął się tam przez otwarte drzwi i zerknął na kaznodzieję. Wielebny Bell miał zamknięte oczy i przekrzywioną na bok głowę, z nosa kapała mu krew. Oparcie krzesła zabrudzone było krwią i mózgiem. Biała koszula pastora robiła się czerwona, pierś nie unosiła się w oddechu. Hop stał tam przez kilka chwil, minutę albo dłużej, by zobaczyć, czy wielebny się nie poruszy. Zdał sobie sprawę, że nie zdoła mu w żaden sposób pomóc. Gabinet wypełniała ostra woń prochu strzelniczego i Hop bał się, że zaraz zymiotuje.

Ponieważ był jedynym czarnym, który znalazł się na miejscu zbrodni, uznał, że na pewno o coś go obwinia. Sparaliżowany lękiem, niczego nie dotykał i w końcu udało mu się powoli wycofać z pokoju. Zamknął drzwi i zaczął szlochać. Wielebny Bell był łagodnym człowiekiem, który traktował go z szacunkiem i troszczył się o jego bliskich. Szlachetny, podziwiany przez swoich parafian kapłan, ojciec rodziny. Bez względu na to, jak uraził pana Pete'a Banninga, nie zasłużył na śmierć.

Hop uświadomił sobie, że strzały mógł usłyszeć ktoś jeszcze.

Co będzie, jeśli przybiegnie tutaj pani Bell i zobaczy męża martwego, zalanego krwią? Hop długo stał w miejscu, próbując się opanować. Wiedział, że brakuje mu odwagi, by poszukać pani Bell i przekazać jej tę wiadomość. Niech to zrobią biali. W kościele nie było poza nim nikogo i w miarę jak mijały kolejne minuty, zaczynał zdawać sobie sprawę, że wszystko jest w jego rękach. Ale nie na długo. Jeśli ktoś go zobaczy, jak ucieka z kościoła, stanie się bez wątpienia pierwszym podejrzanym. Najspokojniej, jak tylko potrafił, wyszedł z budynku parafii i ruszył tą samą ulicą, którą wcześniej oddalił się pan Banning. Po chwili przyspieszył kroku, obszedł plac i wkrótce zobaczył areszt.

Zastępca szeryfa Roy Lester wysiadał właśnie z policyjnego samochodu.

– Dzień dobry, Hop – powiedział i nagle zauważył, że sprzątaczkę ma zaczerwienione oczy i łzy na policzkach.

– Wielebny Bell nie żyje – wyjąkał Hop. – Został zastrzelony.



Lester, z siedzącym obok niego i wciąż ocierającym łzy Hopem, popędził cichymi uliczkami Clanton i już kilka minut później wjechał na żwirowany parking przed parafią, wzbijając tuman kurzu. Obaj zobaczyli, jak otwierają się nagle frontowe drzwi budynku i z krzykiem wybiega przez nie Jackie Bell. Ręce i sukienkę, a nawet twarz miała poplamione krwią. Wyła i zawodziła, nie wydając żadnego artykułowanego dźwięku – po prostu krzyczała przeraźliwie, z twarzą wykrzywioną w grymasie przerażenia. Lester złapał ją i próbował uspokoić, lecz udało jej się wyrwać.

– On nie żyje! – zawołała. – Nie żyje! Ktoś zabił mojego męża!

Lester złapał ją ponownie, nie chcąc, by wróciła do gabinetu Bella. Hop patrzył na to wszystko i nie miał pojęcia, co robić. Wciąż obawiał się, że ktoś może go obarczyć winą, i wołał się



za bardzo nie angażować.

Mieszkająca po drugiej stronie ulicy pani Vanlandingham usłyszała krzyki i przybiegła, z kuchenną ściereczką w ręce. W tej samej chwili na parking przed parafią wjechał szeryf, Nix Gridley, i wysiadł z samochodu.

– On nie żyje, Nix! – zawołała na jego widok Jackie. – Dexter nie żyje! Ktoś go zastrzelił! O mój Boże! Pomocy!

Nix, Lester oraz pani Vanlandingham przeszli z nią przez ulicę i wspięli się na werandę, gdzie Jackie opadła na wiklinowy fotel bujany. Pani Vanlandingham próbowała wytrzeć jej twarz i ręce, ale Jackie ją odsunęła. Schowała twarz w dłoniach i jęcząc głośno, zachłystywała się szlochem.

– Zostań z nią – polecił Nix Lesterowi i wrócił na drugą stronę ulicy, gdzie czekał już na niego zastępca Red Arnett.

Weszli razem do budynku parafii i zajrzeli do gabinetu. Wielebny Bell leżał na podłodze obok krzesła. Nix przykucnął i ostrożnie ujął jego prawą rękę.

– Nie ma tętna – oświadczył po kilku sekundach.

– Trudno się dziwić – mruknął Red. – Nie potrzebujemy chyba ambulansu.

– Raczej nie. Zadzwoń do domu pogrzebowego.

– Zastrzelił go Mista Pete Banning – oznajmił Hop, który wszedł za nimi do gabinetu. – Słyszałem, jak to zrobił. Widziałem broń.

Nick wyprostował się i zmierzył go surowym spojrzeniem.

– Pete Banning?

– Tak, on. Stałem wtedy w korytarzu. Wycelował we mnie z rewolweru, a potem kazał mi iść i pana znaleźć.

– Co jeszcze powiedział?

– Że dobry ze mnie człowiek. To wszystko. A potem wyszedł.

Nix skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na Reda. Ten pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Pete Banning? – wymamrotał.

Obaj spojrzeli na Hopa, jakby nie bardzo mu wierzyli.

– To prawda – powiedział sprzątacze. – Widziałem go na własne oczy. I ten jego rewolwer z długą lufą. Celował dokładnie tutaj. – Dotknął palcem czoła. – Myślałem, że mnie też zabije.

Nix zsunął kapelusz na tył głowy i potarł twarz. Kiedy zerknął na podłogę, zauważył, że kałuża krwi się rozszerza, odpływając coraz dalej od ciała. Spojrzał na zamknięte oczy Dextera i po raz pierwszy, choć z pewnością nie ostatni, zadał sobie w duchu pytanie, co spowodowało tę zbrodnię.

– Rozumiem, że mamy już sprawcę – odezwał się Red.

– Na to wygląda – potwierdził Nix. – Ale zrobimy kilka zdjęć i poszukajmy łusek.

– Co z rodziną? – zapytał Red.

– Też o tym pomyślałem. Przyprowadź panią Bell z powrotem na plebanię i poproś jakieś panie, żeby z nią posiedziały. Ja pojedę do szkoły i porozmawiam z dyrektorem. Mają trójkę dzieci, prawda?

– Chyba tak.

– Zgadza się – powiedział Hop. – Dwie dziewczynki i chłopca.

Nix spojrzał na niego.

– Ani słowa o tym, co się tu stało, Hop, rozumiesz? Mówię serio. Nikomu ani słowa. Jeśli puścisz parę z gęby, przysięgam, że cię zamknę.

– Nie, jasna sprawa, panie szeryfie. Nikomu nic nie powiem.

Wyszli z gabinetu pastora i zamknęli za sobą drzwi. Po drugiej stronie ulicy, wokół werandy Vanlandinghamów, gromadziło się coraz więcej ludzi. Były to w większości gospodynie domowe, które z wytrzeszczonymi oczami stały na trawniku i zaślaniały dłońmi usta w geście niedowierzania.



Do ostatniego zabójstwa dokonanego przez białego doszło w hrabstwie Ford przed ponad dziesięcioma laty. W 1936 roku dwaj dzierżawcy poszli na wojnę o bezwartościowy

skrawek ziemi. Wygrał ten, który celniej strzelał. Na procesie oświadczył, że działał w obronie własnej, i go uniewinniono. Dwa lata później niedaleko osiedla Box Hill zlinczowano czarnego chłopaka, który odezwał się wulgarnie do białej kobiety. W 1938 roku na Południu, a w szczególności w Missisipi, linczu nie uznawano za zabójstwo ani w ogóle za jakiegokolwiek złamanie prawa. Tymczasem za wypowiedziane do białej kobiety niewybredne słowo można było zapłacić gardłem.

Ani Nix Gridley, ani Red Arnett czy Roy Lester, ani żaden mieszkaniec Clanton poniżej siedemdziesiątki nie pamiętał morderstwa tak szacownego obywatela. Fakt, że głównym podejrzanym był jeszcze szacowniejszy obywatel, sprawił, że całe miasto zamarło z wrażenia. W budynku sądu sekretarze, adwokaci i sędziowie, zapominając o swoich sprawach, powtarzali to, co przed chwilą usłyszeli, i kręcili głowami. W sklepach i biurach wokół placu sprzedawcy, urzędnicy i klienci szeptem przekazywali jeden drugiemu szokującą wiadomość i głęboko wstrząśnięci patrzyli sobie w oczy. W szkołach nauczyciele przerywali lekcje, zostawiali uczniów w klasach i zbierali się na korytarzach. Na zacienionych uliczkach wokół placu mieszkańcy stawali przy swoich skrzynkach pocztowych i starali się w najprzeróżniejszy sposób wyrazić jedną nurtującą ich myśl: „To nie mogło się zdarzyć”.

A jednak się zdarzyło. Zgromadzeni na podwórku Vanlandinghamów ludzie wyciągali szyje, wpatrując się w zwirowany parking po drugiej stronie ulicy, gdzie stały trzy policyjne samochody – cała flota biura szeryfa hrabstwa – oraz karawan z Domu Pogrzebowego Magargela. Jackie Bell odprowadzono z powrotem na plebanię, gdzie siedziała z zaprzyjaźnionym lekarzem i kilkoma paniami z kościoła. Pobliskie uliczki były już wkrótce zastawione pick-upami i innymi pojazdami ciekawskich. Jedni przejeżdżali powoli, bez żenady gapiąc się przez otwarte okna, inni parkowali, gdzie tylko się dało, jak najbliżej kościoła.

Karawan przyciągał ludzi niczym magnes i kiedy zaczęli wchodzić na parking, Roy Lester kazał im się cofnąć. Tylne drzwi karawanu były uchylone, co oczywiście znaczyło, że już wkrótce zwłoki zostaną wyniesione i wyruszą w krótką drogę do domu pogrzebowego. Jak w przypadku każdej tragedii – zbrodni lub wypadku – ciekawscy chcieli przede wszystkim zobaczyć ciało. Choć oszołomieni i wstrząśnięci, w milczeniu podchodzili bliżej, zdając sobie sprawę, jaka trafiła im się gratka. Byli świadkami dramatycznej i niewyobrażalnej historii i aż do końca życia mogli opowiadać, że widzieli, jak ciało wielbego Bella wnoszono do karawanu.

Szeryf Gridley wyszedł z budynku parafii, popatrzył na tłum i zdjął z głowy kapelusz. Za nim pojawiły się nosze, trzymane z jednej strony przez starego Magargela, a z drugiej przez jego syna. Ciało było przykryte czarną tkaniną i widać było tylko brązowe buty Dextera. Wszyscy mężczyźni natychmiast zdjęli kapelusze i czapki, a wszystkie kobiety pochyliły głowy, lecz nikt nie zamknął oczu. Kilka osób cicho szlochało. Kiedy ciało załadowano do karawanu, stary Magargel siadł za kierownicą i ruszył z miejsca. Nigdy nie marnował okazji, by dodać swoim działaniom dramatyzmu, kluczył więc przez jakiś czas bocznymi uliczkami, a potem dwa razy powoli okrążył plac, żeby całe miasto mogło się przyjrzeć karawanowi.

Godzinę później szeryf Gridley zadzwonił z poleceniem, by ciało przewieźć do Jackson, gdzie będzie przeprowadzona sekcja zwłok.



Nineva nie pamiętała, kiedy ostatnio pan Pete poprosił, by siadła z nim na werandzie. Miała na głowie ważniejsze rzeczy. Amos ubijał masło w stodole i powinna mu w tym pomóc. Później miała jeszcze zawekować fasolę i groszek i zrobić pranie. Ale skoro szef kazał jej usiąść w fotelu bujanym i trochę popróżnować, nie mogła odmówić. Ona popijała mrożoną herbatę, a on kurzył papierosy, więcej niż zwykle, uświadomiła

sobie później, kiedy opowiadała o tym Amosowi. Pana Pete'a bardzo interesował ruch na oddalonej o niecałe pół kilometra drodze. Przejechało nią kilka samochodów osobowych i pick-upów ciągnących przyczepy z bawełną, którą wieziono do odziarniarki w mieście.

– Już jedzie – oznajmił Pete, gdy na ich podjazd skręcił wóz szeryfa.

– Kto? – zapytała.

– Szeryf Gridley.

– Czego chce?

– Przyjechał mnie aresztować, Ninevo. Za morderstwo. Dziś rano zastrzeliłem Dextera Bella, pastora metodystów.

– Co też pan mówi?! Że co pan zrobił?

– Słyszałaś, co powiedziałem. – Pan Pete wstał, podszedł do jej fotela, pochylił się i wycelował w nią palcem. – A ty nikomu nie piśniesz ani słowa, Ninevo. Słyszysz?

Oczy miała wielkie jak spodki i otworzyła szeroko usta, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Pete wręczył jej małą kopertę, którą wyciągnął z kieszeni kurtki.

– Wejdz teraz do domu, a kiedy mnie zabiorą, zanieś to Florry.

Wziął ją za rękę, pomógł wstać i otworzył siatkowe drzwi. Znalazszy się w środku, Nineva wydała z siebie bolesny jęk, od którego Pete aż się wzdrygnął. Zamknął drzwi, odwrócił się i obserwował zbliżający się samochód szeryfa. Nixowi Gridleyowi wcale się nie spieszyło. Zaparkował obok pick-upa Pete'a, wysiadł, razem z Redem i Royem, podszedł do werandy i zatrzymał się u stóp schodów. Przez chwilę patrzył na Pete'a, który nie wydawał się zbyt przejęty.

– Lepiej będzie, jak z nami pojedziesz, Pete – powiedział.

Pete wskazał głową swojego pick-upa.

– Rewolwer leży na przednim siedzeniu – oznajmił.

– Weź go – polecił Nix Redowi.

Pete powoli zszedł z werandy i zbliżył się do samochodu szeryfa. Roy otworzył przed nim tylne drzwi. Pochylając

się, by wsiąść, Pete usłyszał zawodzenie Ninevy na tylnym podwórkę i kiedy podniósł wzrok, ujrzał, jak z listem w ręce biegnie truchtem w stronę stodoły.

– Jedźmy – mruknął Nix, siadając za kierownicą.

Red, trzymając rewolwer, zajął miejsce obok szefa. Roy i Pete siedzieli z tyłu, niemal dotykając się ramionami. Kiedy samochód ruszył podjazdem, a potem skręcił na szosę, nikt się nie odzywał, zupełnie jakby wszyscy wstrzymali oddech. Stróże prawa wykonywali swoje czynności w stanie niedowierzania, wstrząśnięci, tak jak wszyscy. Popularny kaznodzieja został z zimną krwią zamordowany przez słynnego syna tego miasta, legendarnego bohatera wojennego. Sprawca musiał mieć jakiś cholernie ważny motyw i ujawnienie go było tylko kwestią czasu. W tym momencie jednak zegar stanął w miejscu i wszystko wydawało się nierealne.

W połowie drogi do miasta Nix zerknął we wsteczne lusterko.

– Nie zamierzam pytać, dlaczego to zrobiłeś, Pete – powiedział. – Chcę tylko, żebyś potwierdził, że to ty.

Pete wziął głęboki oddech i spojrzał na pola bawełny, które mijali.

– Nie mam nic do powiedzenia – odparł.



Budynek aresztu hrabstwa Ford pochodził z poprzedniego stulecia i nie nadawał się zbyt do zamieszkiwania przez ludzi. Pierwotnie pełnił funkcję magazynu, potem był adaptowany na różne cele, aż w końcu kupiło go hrabstwo i przedzieliło na dwie części ceglanym murem. Z przodu wydzielono sześć cel dla białych więźniów, z tyłu osiem dla czarnych. Nie zdarzało się raczej, by wszystkie, zwłaszcza te od frontu, były zajęte. Obok był mały aneks, który hrabstwo dobudowało później, na biuro szeryfa i siedzibę miejscowej policji. Od głównego placu dzieliły areszt tylko dwie przecznice i widać było z niego budynek sądu. Podczas spraw karnych, które należały do

rzadkości, oskarżony często szedł do sądu pieszo, pod eskortą zastępców szeryfa.

Przed aresztem zgromadził się teraz tłum, by zobaczyć zabójcę. Nadal wydawało się niewiarygodne, że Pete Banning zrobił to, co zrobił, i raczej wątpiono, by trafił za kratki. Kogoś tak znanego jak pan Banning z pewnością obowiązywały inne zasady. Choć na wypadek gdyby Nix rzeczywiście go aresztował, zebralo się tam sporo gapiów, którzy chcieli ujrzeć to na własne oczy.

– Rozumiem, że wieści się rozeszły – mruknął Nix, skracając na niewielki żwirowany parking przed aresztem. – Nikomu ani słowa! – przypomniał podwładnym.

Samochód zahamował i otworzyły się jednocześnie wszystkie jego drzwi. Nix złapał Banninga pod łokieć i ruszył z nim do wejścia. Red i Roy ochraniali tyły. Oniemiały tłum nie ruszał się z miejsca i dopiero reporter z „The Ford County Times” dał krok do przodu i zrobił zdjęcie. Błysk flesza zaskoczył nawet Pete’a.

– Będziesz się smażył w piekle, Banning! – usłyszał, wchodząc do środka.

– Święta prawda, święta prawda – zawołał ktoś inny.

Podejrzany nawet nie mrugnął, jakby w ogóle nie zwracał uwagi na zgromadzonych ludzi. Po chwili wszedł do środka i zniknął im z oczu.

W ciasnym pomieszczeniu, w którym spisywano wszystkich podejrzanych i przestępców, był już mecenas John Wilbanks, znany w mieście adwokat i stary przyjaciel Banningów.

– Czemu zawdzięczamy tę przyjemność? – mruknął Nix, najwyraźniej niezbyt zachwycony jego obecnością.

– Pan Banning to mój klient i jestem tu w charakterze jego pełnomocnika – oznajmił Wilbanks, po czym bez słowa wymienił uścisk dłoni z Pete’em.

– Najpierw załatwimy nasze sprawy, a potem będzie pan mógł załatwić swoje – odparł Nix.

– Dzwoniłem już do sędziego Oswalta i dyskutowaliśmy na

temat kaucji.

– Znakomicie. Kiedy ta dyskusja przyniesie jakiś rezultat, sędzia z pewnością nie omieszka mnie zawiadomić. Na razie jednak, panie Wilbanks, ten człowiek jest podejrzany o zabójstwo, a ja będę stosownie do tego postępował. Czy mógłby pan teraz wyjść?

- Chciałbym porozmawiać z moim klientem.
- Nigdzie się stąd nie wybiera. Proszę wrócić za godzinę.
- Rozumiem, że nie będzie żadnego przesłuchania?
- Nie mam nic do powiedzenia – oświadczył Banning.



Florry przeczytała list na werandzie swojego domu, na oczach Ninevy i Amosa, przerażonych tym, co się stało, i dyszących ciężko po długim biegu.

- Zabrali go? – zapytała, kiedy skończyła czytać.
- Przyjechali po niego szeryf i jego ludzie, panno Florry – odrzekła Nineva. – Spodziewał się tego.
- Powiedział coś?
- Że zabił kaznodzieję – odparła Nineva, ocierając łzy z policzków.

W liście Pete prosił Florry, żeby zadzwoniła do Joela na Uniwersytecie Vanderbilta i do Stelli w Hollins i zawiadomiła ich, że aresztowano go za zabicie wielebnego Dextera Bella. Mieli o tym z nikim nie rozmawiać, zwłaszcza z prasą, i aż do otrzymania następnych instrukcji pozostać na swoich uczelniach. Było mu przykro z powodu tak tragicznego obrotu wydarzeń, ale miał nadzieję, że pewnego dnia wszystko zrozumieją. Prosił także siostrę, by odwiedziła go nazajutrz w więzieniu, bo chce omówić z nią różne sprawy.

Od tego wszystkiego Florry zrobiło się niedobrze, ale nie mogła okazać słabości przy służbie. Złożyła list, wetknęła go do kieszeni i odprawiła ich oboje. Nineva i Amos oddalili się, jeszcze bardziej przerażeni i skołowani niż wcześniej. Patrzyła za nimi, aż zniknęli jej z oczu, po czym usiadła z jednym ze



swoich kotów na wiklinowym fotelu bujanym i próbowała opanować emocje.

Pete rzeczywiście wydawał się nieobecny duchem podczas śniadania, zaledwie kilka godzin wcześniej, ale prawdę mówiąc, coś było z nim nie tak od powrotu z wojny. Dlaczego jej nie uprzedził? Jak mógł zrobić coś tak niewiarygodnie złego? Co z nim teraz będzie? Co będzie z jego żoną i dziećmi? Z nią, jego jedyną siostrą? I z ziemią?

Florry nie była praktykującą metodystką, lecz wychowano ją w religijnym duchu i czasami brała udział w nabożeństwach. Nauczyła się nie nawiązywać bliższych relacji z pastorami, bo przenoszono ich, nim zdążyli się zdomowić. Ale Bell należał do najlepszych.

Pomyślała o jego ładnej żonie i dzieciach i w tym momencie coś w niej pękło. Marietta wyszła na werandę i stanęła przy swojej pani, gdy ta zanosła się szlochem.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiazka.pl](http://taniaksiazka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).